Nr. 6. We Lwowie dnia 7. lutego 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Szumny symploński bór.

I.

Szlakiem symplońskiej drogi, po żwirów swej wstędze,
Snującej się krawędzią przepastnych, stromych ścian,
Płomienny rozlew słońca w łyskliwej swej potędze
Pod stopy się nam ściele, jak dywan srebrem tkan.

Nad nami Mont' Leone, w iskrzystą strojny przędzę,
Majestatycznie władnie, niby cesarski pan,
Co imię swe na wieki zapisał w bytów księdze,
Opancerzony grozą, blaskami chwały zlan.

Jest-li w nim ludzkie życie, w tym dumnym Mont' Leone,
Zaklęte czarów mocą w rozsiadły kolos skał,
Że tak spogląda na nas, jakby nas przygnieść chciał?

Jest-li w nim ludzkie życie, że tak w wędrowców stronę
Szle po wierzchołkach lasów dreszcz wlewający szum,
Jak echo zbrojnych dum?

II.

Hej! oczy mgłą zachodzą, w ten straszny szczyt wpatrzone:
To nie kopuła śniegu, to już nie martwy głaz —
Jak tytan świat walący, ruszył się Mont' Leone,
A za nim płynną rzeką ciemny się ruszył las.

Na czole spochmurniałem zwycięzcy ma koronę;
Rubiny krwi w niej błyszczą słonecznych tęczą kras,
I skrzydła lśnią u ramion, rozwarte, rozpierzone
Nad legją, co zalała symplońskiej drogi pas...

Powiewa szmat proporców, radośne grzmią fanfary;
Wojenna nuta płynie nakształt dźwięczących fal —
Z mosiężnych surm klangorem w błękitną płynie dal.

Sam tylko wódz milczący; utopił wzrok w bezmiary
I sunie zadumany na czele wiernych sług
Ten bitew wielki bóg...

III.

Dlaczego w nim źreniczne przygasły dzisiaj żary?
Wesele jego wojów dlaczego ma w nim grób?
Wszakże podważył ziemię, porządek zburzył stary,
Połowę świata rzucił do swych kamiennych stóp!

Wszak śpieszy jego pycha po świeże znów ofiary?
Z pożogi i posoki wyniesie świeży łup.
Wszak pić on dziś nie idzie z hańby piołunnej czary,
Lecz z sławą promienistą wieczny zawierać ślub?...

Rycerski duch ludzkości, który zapładniał wieki,
Który sam jeden stawiał i walił kościół swój,
W nim znalazł znów wcielenie, wystąpił w nim na bój...

Więc czemu, gdy tak w przestwór zapatrzył się daleki,
Nie uśmiech go rozjaśnia, lecz smutku mrok swą dłoń
Kładzie na jego skroń?

IV.

Grzmi, huczy tłum wojenny, jak huczą grzmiące rzeki,
Kaskadą spadające z szczytów sympolońskich gór;
Sam tylko wódz oniemiał, rozwarłszy dwie powieki
Nad szklaną ócz martwotą, jak konający tur.

Czyżby przeczuwał dzisiaj, że nowe krwi rozcieki
Przemienią w żal i jęki ten tryumfalny chór?
Że świat z pod jego groźnej wyrywa się opieki,
Że ludom gdzieś przyświeca innego bytu wzór?

Że inny duch ogłosi ludzkości swe orędzie,
Nie ten, co w ręku dzierży rozpłomieniony miecz;
Że imię jego, Miłość, a hasło: »kój i lecz«!...

Że ludzkość, pobratana, okalać już nie będzie
Światłością swojej glorji, jak za ginących dni,
Siewaczy łun i krwi?

V.

Raz jeszcze on narodom narzuci się na sędzię,
By rozciąć węzeł dziejów przy huku dział i kul;
Raz jeszcze w swym pochodzie, w szalonych burz rozpędzie,
Zdruzgocze miast bramice, stratuje zasiew pól.

Raz jeszcze spieszy k'niemu, na krwawej szukać grzędzie
Wrzosów ze zbawczym miodem zgnębionych rojny ul.
A potem — czyż przeczuwa, że mrok już sieć swą przędzie,
Że padnie w niej, jak nędzarz, ten wszechpotężny król?

Zapatrzył się bóg wojny w dalekie gdzieś przestwory...
To nie słoneczne blaski! to jakby chmurny śnieg!
A środkiem straszna rzeka znaczy swój zmarzły bieg.

A tylko tam, gdzie zmierzchy swe mgławe kreślą tory,
Jak gdyby — nie dla niego — jęły się płonić już
Przebłyski nowych zórz!...

VI.

W powietrzu się rozwiały dzwoniących surm klangory —
Rozwiały się na zawsze... darmo wytężasz słuch..
Na darmo wzrok wytężasz. Tłum zginął różnowzory
I wódz się w mgłę rozpłynął, co wiódł ten zbrojny ruch.

W ciała wędrowców wrócił duch do rozmarzeń skory,
Urokiem chwał umarłych tak przepojony duch...
I tylko Mont Leone, owity w ciemne bory,
Skrzy się w promieniach słońca, w śnieżysty strojny puch.

W dali Aletschu wstęga w sinawe ścięta lody;
Naokół pasma szczytów drzemią w błękitnych mgłach;
Nad nimi strop niebieski rozpiął lazurów dach.

Z gardzieli skalnych lecą siklawie huczne wody,
A przy nich cicho szepce w roztęskniający wtór
Szumny symploński bór.

Jan Kasprowicz.

TADEUSZ KORZON.

WEWNĘTRZNE DZIEJE POLSKI

za Stanisława Augusta.

Gdy się pierwsze wydanie »Wewnętrznych dziejów«, między rokiem 1882 a 1886 ukazało, krytyka fachowa przyjęła owo pięciotomowe dzieło (tom czwarty składał się z dwóch części) z niekłamanem uznaniem i wdzięcznością. Prof. Korzon zebrał bowiem tyle źródeł dziejowych zapomnianych i spoczywających przez długie lata w archiwalnym pyle; studja swoje, przeważnie w kierunku ekonomicznym i administracyjnym, przeprowadził tak starannie i gruntownie, że nagroda w postaci szczerego uznania społeczeństwa minąć go nie mogła i rzeczywiście też w pełnem znaczeniu tego słowa sumiennej i cennej jego pracy przypadła w udziale.

Że społeczeństwo nasze potrafi ocenić bogactwo historycznej treści, choćby nawet forma wykładu nie nadawała się zbytnio do uprzystępnienia szerokim kołom czytelników dziejowych rskabów, mamy tego najlepszy dowód na „Dziejach wewnętrznych" prof. Korzona. Autor w obszernem swem dziele, a zwłaszcza w pierwszych tomach przedstawił dzieje wewnętrzne Polski anatomicznie i mimowoli przypomniał ciekawy traktat wojewody Garczyńskiego z XVIII. stulecia pt. „Anatomia rzeczypospolitej". Zaznaczyć wszakże należy, że jeżeli dla uczonych i wgóle dla badaczy fachowych system powyższy nic przedstawia żadnych szczególnych niedogodności, to z drugiej strony nie jest on do zalecenia, jeżeli idzie o popularyzowanie zdobytej wiedzy i zainteresowanie nią szerokich kół społecznych. Spełniając funkcję polityczno-historycznego anatoma prof. Korzon porzucił drogę zazwyczaj tak wdzięczną i ponętną dla każdego historyka, a która to droga prowadzi do odtworzenia całkowitego, czy to zewnętrznego, czy wewnętrznego życia państwowego organizmu. Autor natomiast obrał sobie drogę trudniejszą i niewdzięczniejszą; poddał bowiem organizm państwa polskiego za Stasława Augusta anatomicznemu rozkładowi i rozbiorowi, a zastanowiwszy się szczegółowo nad każdym organem społeczno-państwowym, chciał tym sposobem dać czytelnikowi pogląd daleko głębszy i ściślejszy na żywotność i siłę oporną dawnego państwa polskiego.

O ile naukowa wartość „Wewnętrznych dziejów" nie straciła nic na podobnem traktowaniu danej epoki, o tyle jasność i treściwość wykładu, a nawet i przystępność rozumowania pozostawiała miejscami nieco do życzenia, a jednak, zaznaczam z naciskiem, mimo to wszystko, niektóre tomy pierwszego wydania zostały zupełnie wyczerpane, a innych pozostało niewiele na pułkach księgarskich. Ale nietylko ten wzgląd skłonił prof. Korzona do powtórnego wydania dzieła, którego tom pierwszy niedawno się ukazał. W przeciągu lat dziesięciu, jakie od ukazania się pierwszej edycji ubiegły, autorowi udało się odszukać jeszcze sporą wiązkę źródeł cennych i dotąd nieznanych. Przytem uwagi krytyków skłoniły prof. Korzona do zaprowadzenia pewnych drobniejszych sprostowań. Dość, że niezależnie od wydawniczych względów powodowały autorem przeważnie pobudki wyższej natury; chodziło mu bowiem przedewszystkiem i nadewszystko o uzupełnienie i poprawienie swej cennej i pożytecznej pracy.

W powtórnem wydaniu pierwszego tomu „Wewnętrznych dziejów“ spotyka czytelnika prawdziwie miła niespodzianka w postaci ilustracji, mających rzeczywistą, archeologiczną wartość. W Niemczech przyozdabiano nietylko narodowe dzieje ilustracjami, pomagającemi do zrozumienia ducha danej epoki lub też ułatwiającemi zatrzymanie w pamięci charakterystyczniejszych znamion cywilizacji. Obszerne wydawnictwo dziejów powszechnych Onckena zamieściło sporą il. ść takich ilustracji, a kto je uważnie przeglądał, ten przyzna chyba ich pożyteczność, zwłaszcza dla tych, którzy galerji obrazów, muzeów, rezydencji monarszych i wielkich bibljotek zwidzać nie mieli sposobności. Mówiąc już raz o ilustracjach w „Wewnętrznych dziejach“, należy załatwić się z niemi ostatecznie, aby powtórnie do nich nie powracać. Na samem czele spotykamy się z Stanisławem Augustem w stroju koronacyjnym, tak, jak go portret olejny Wernera przedstawia na ratuszu warszawskim. Obraz to nieszczególny i przedstawiający monarchę w pozie nienaturalnej; zdaje mi się też, że można było wystarać się o pierwowzór, mający więcej artystycznych przymiotów. Za to wszystkie inne portrety zadawalnia ą zupełnie i, oprócz archeologicznej, posiadają nadto artystyczną wartość. Jest ich w miarę, a odszu anie niektórych kosztowało prof. Korzona dosyć zabiegów i trudu. W galerji portretowej pierwszego tomu, prof. Korzon nie zaniedbał zaznajomić nas ze wszystkiemi znakomitszemi osobistościami stanu duchownego wszelkich wyznań chrześcijańskich, między któremi uderza pięknością portret prymasa Poniatowskiego, podobizna mozaikowego portretu w archikatedrze św. Jana w Warszawie. Ze świeckich znakomitości zamieszczeni zostali przede wszystkiem ci, którzy do reform włościańskich przyłożyli dobroczynną ręką: a więc spotykamy się z obliczem Andrzeja Zamoyskiego, Stanisława Potockiego, Staszyca, Hugona Kołłątaja i Stanisława Małachowskiego.

Prócz portretów historycznych znajdujemy w „Wewnętrznych dziejach“ podobiznę ryciny, podpisanej „Paysan de Pawłow“, dalej podobiznę karty tytułowej broszury „Pawłow od r. 1767 do r. 1795“ i wreszcie podobiznę karty tytułowej „Ustawy powszechnej, dla dóbr moich rządców“ (tom VII), wydanej przez księżnę Jabłonowską. Do zamieszczenia podobizn kart tytułowych skłoniła prawdopodobnie prof. Korzona niemożność odszukania portretów Brzostowskiego i księżnej Jabłonowskiej; tym sposobem bowiem uzupełnił przynajmniej pośrednio galerję reformatorów włościańskich z czasów panowania Stanisława Augusta. Wreszcie zamieszczona została w tomie pierwszym „Wewnętrznych dziejów“ podobizna ciekawego planu Warszawy, zrobionego przez Zannoniego, druga podobizna planu Warszawy, robionego przez Lelewela i w końcu mapy oraz przedstawienia graficzne, pozwalające rozejrzeć się dokładnie wśród terytorjów i ludności dawnego państwa polskiego.

Drugie wydanie pierwszego tomu swych „Wewnętrznych dziejów“ poprzedził prof. Korzon krótką przedmową, w której zaznaczył główniejsze sprostowania, jakie w swej pracy poczynił. Pozwolę sobie jednak przytoczyć kilka słów charakterystycznych z przedmowy do pierwszego wydania, zamieszczonej i w powtórnej edycji. „Nikomu nie schlebiam, oświadcza autor, ani ludziom, ani stanom, ani narodom, ani nawet zasadom; nikogo też nie czernię. Dla rodaka i dla cudzoziemca, a chociażby nawet dla wroga, mam jedną miarę. Oto jest prawda, o ile ją pochwycić i wyrozumieć zdołałem“. Do słów powyższych dodać winienem to jedynie, że czytelnik łatwo się będzie mógł przekonać, że prof. Korzon nie sprzeniewierzył się nigdzie swej przewodniej idei; poszukiwanie prawdy i wyrozumienie jej sumienne, przy starannem unikaniu wszelkich indywidualnych doktryneryzmów, oraz wszelkiego namiętnego podrażnienia, spotykamy nietylko w tej, ale we wszystkich poprzednich studjach prof. Korzona i dlatego też czytelnik może uwierzyć słowom autora, zapewniającym, że podał prawdę, o ile ją pochwycić i wyrozumieć zdołał.

Prof. Korzon poprzedził tom pierwszy swych »Wewnętrznych dziejów« charakterystyką i obszerniejszym wstępem, a następnie przystąpił do starannych i szczegółowych obliczeń rozległości terytorjalnej dawnego państwa polskiego za Stanisława Augusta. Zadanie, podjęte przez prof. Korzona, nie było tak łatwem do spełnienia. Czynności bowiem delegacji z r. 1773-go zarówno jak i komisarzy do czynienia granic wyznaczonych zdradzają brak należytej wiedzy geograficznej. W drukowanej w r. 1773-im geografji Wyrwicza nie znajdujemy ani rozległości, ani ludności Polski, i słusznie też w owym czasie oświadczano, że o rozległości pozostałego kraju polskiego upewniano się dopiero z austrjackich i pruskich pomiarów.

(Dok. nast.). *A. Rembowski.*

W zimową burzę

(Gawęda przy kominku).

W mroźną, śnieżną, wyjącą burzę zimową nie wiem czemu zawsze jedno wspomnienie wypływa mi z głębi pamięci. Gdy słyszę przeciągłe, ponure jęki wiatru, gdy widzę, jak korony drzew w niepokoju miotają się na wszystkie strony, jak na polach

skręconym wirem przelatują z suchym szelestem ostre igły śniegowe, a niebo jednolite, ciężkie i czarne, nisko nad ziemią zawisa — wtedy nagle, jak różczką wróżki wywołana, staje mi przed oczyma postać Ihnata i w dziwnych jękach wichru nutę głosu jego rozróżniam.

Straszny to był czas, ta burza skądściś przywiana, niebywała zimnem tak wczesnem, jak najstarsi podobnego nie pamiętali. Dzika, straszliwa moc ją zrodziła i niby tchnienie złego, szalonym wichrem po świecie gnała.

Pamiętam dobrze datę: 21. października to było, (starego stylu) roku zaś 1891-go.

Nad białą, precz w dal rozciągniętą, smętną płaszczyzną stanął u brzegu las sosnowy półkręgiem. Mrok wieczorny słał się po polu i las niewyraźnie czerniał, a między chmurnem niebem i ziemią białą szalała straszliwa burza. W borze, wśród rozsochatych gałęzi wył i szamotał się wicher, trzeszczały olbrzymie sosny, huk szedł po głębiach głuchy, złowieszczy, potężne konary jak drzazgi lekką ręką kruszone, łamały się z trzaskiem i z wysokich szczytów padały na ziemię; a z ziemi gęstym tumanem podnosiły się śniegi i w kłąb zwinięte, rozkiełznane i dzikie, syczące rzucały się na drzewa. Strasznaś w taką noc zimową, ty puszczo moja litewska, rozchwiana, rozjękła, — skąd płyną twoje szumy, skąd lecą jęki twoje? jaką ty pieśń tak huczysz, jakie ty skargi rzucasz w to czarne niebo bez gwiazd, rozpaczne i gniewne?... Tam, w twojej głębi, ku najniższym moczarom, w środku najciemniejszej gęstwiny mieszka twój tytan leśny. — Porwał się w gniewie, ryknął wzburzoną piersią i lasem zatrząsł, i zbliża się, zbliża... Wśród burzy słychać wyraźnie ciężkie jego stąpania i jego pomruk głuchy; dreszcz trwogi przez las przebieżał, płacz rozpaczny zaszumiał wśród sosen — a on zbliża się, zbliża...

Na polu szeroką ławą niewstrzymany wiatr lata — ostry, mroźny, jęczący. Suchą brzozą w pustym polu zamiota, wiry śniegowe podniesie i rozszalały, rozhukany wyjąc w ścianę lasu uderza.

W noc tę straszliwą i ciemną, gdzie wszelkie życie przycichło, tuląc się do macierzystej piersi ziemi — na polu chwiejne światło roznieconego ogniska migało; to gasło, burzą zdmuchnięte, to podsycone paliwem, miotającym się wybuchało płomieniem, a dym czarny, smolny, kudłatym warkoczem szarpał się nisko nad ziemią. Ognisko obstąpiła gromadka z trzech, czterech ludzi złożona. Wielkie czapki na głowach, szare siermięgi skrzyżowane na piersiach i mocno pasem ściągnięte, nogi po grubych płachtach krzyżowanym sznurem oplecione, łykowym łapciem obute. — Zgrzebłe palce wyciągają do ogniska i gęste brwi chmurzą nad ponurem, srogiem wejrzeniem. Ciemne twarze, gęste zarosty to płomień nagle oświeci; to kłąb ostrych, szczypiących igieł śniegowych zasypie.

(C. d. n.) *W. Dalecka.*

O kwestji tak zwanej „kobiecej“

ZE STANOWISKA NAUK PRZYRODNICZYCH

Dr. B. Dybowski.

(Ciąg dalszy).

Pod wpływem owych smutnych warunków życia społecznego, musiał się coraz bardziej zacieśniać zakres działalności kobiet, odsądzonych od praw do godności i imienia istoty ludzkiej, karłowaciała więc ich inteligencja, zakuta w więzy autorytetu i przesądu. Kobiety przyjęły powoli rolę służebnic i helotek, a gdy wielożeństwo i niewolnictwo kładły tamę rozwojowi altruizmu i uczuć macierzyńskich to egoizm pobudzany ciągle do działalności, walkami bez końca, zrodzonemi na polu fanatyzmu religijnego, plemiennego albo państwowego, brał coraz bardziej przewagę, aż wytworzył się stan opłakany — panowania siły brutalnej i przemocy nad sprawiedliwością i słusznością wraz z jednoczesnym wytworzeniem się zasad etycznych, najniemoralniejszych w świecie, bo ugruntowanych na strachu przed karą i na obietnicach nagrody za czyn każdy, uznany za dobry. Czas walk barbarzyńskich trwał wieki i trwa aż po chwilę obecną. Kobiety uważano za rzecz do nabycia dla celów dogodzenia rozwiązłym, zwierzęcym popędom mężczyzny, kupowano je, albo zdobywano siłą pięści. Córki miano za towar, sprzedawany więcej płacącemu. W taki sposób powoli, niepostrzeżenie nastąpiła degradacja i fizyczna, i moralna tych czynników, które w fazach rozwoju uprzedniego w społeczeństwach przyczyniły się przeważnie do ich postępu. A dzisiaj ów motor, tak szlachetny uprzednio, stał się głównym hamulcem, działającym na niekorzyść rozwoju dodatniego, taranem, którego używają skutecznie sami mężczyźni za broń do zwalczania jaśniejszych poglądów mniejszości myślącej. Nikt chyba dzisiaj nie jest tak wrogo usposobiony odnośnie do rozwoju kobiet na drodze postępu, jak większa część ich samych; parte bezwiednie siłą nawyknienia dziedzicznego, podają dobrowolnie szyję do łańcucha, a nadto są nie rade, że nie wszystkie niewiasty pragną iść w ich ślady, że natomiast pewna ich część żąda pozbycia się obroży i wszelkich dobrodziejstw, z tą ostatnią nierozłącznie związanych.

Stosunki poznane, a datujące z wieków barbarzyństwa, nie wiele się zmieniły na korzyść kobiet i w perjodach rozwojowych późniejszych; odziedziczone przesądy trwają i w chwili obecnej, a wraz z nimi i przekonanie o niższości organizmu kobiecego w porównaniu z męskim. Filozofowie, Trubadurowie, Uczeni i Natchnieni pozbyć się tego poglądu dotąd nie potrafili, że kobieta już w raju rada była słuchać podszeptów węża kusiciela, że do zjedzenia owocu z drzewa

zakazanego namówiła mężczyznę i w ten sposób stała się powodem upadku i nieszczęścia płci silnej. Wszak tych pięknych pojęć o naturze kobiecej uczymy powszechnie nasze dzieci, nieświadomi, że się w ten sposób wyrządza największą krzywdę ludzkości, bo ją się przyucza do pogardy tego pierwiastku, który najskuteczniej przyczynić się może do usunięcia barbarzyństwa nowożytnego z łona dzisiejszych społeczeństw.

Istota kobiety, wyposażona w pojęciach ludów cywilizowanych przymiotami rzeczonymi, uformowana nadto w przekonaniu tych ostatnich z pośledniej części organizmu męskiego, bo z jego żebra, musiała z konieczności zająć w umysłach ogółu miejsce bardzo podrzędne, stała się ona parjasem, tak na widowni życia, jak i na arenie piśmiennictwa. To ostatnie spaczywszy najwznioślejszą czynność organizmów — wytwarzanie życia — użyło ją za temat do tysiąca obrazów fałszywych, sprośnej, rozwiązłej treści, które tem niemniej służą za karm duchowy dla całej rzeszy czytającej publiczności dzisiejszej, niemi np. delektuje się śmietanka społeczeństw nowożytnych; ale za to, gdy Zola lub który z jego naśladowców, zechce stawić przed sumienie publiczne obrazy realne upodlenia naszego, wizerunki tego upadku moralnego, w którym toną całe warstwy społeczne, wtedy powstaje alarm ogólny, rozlega się krzyk zgrozą przyjętej obłudy, gdyż w tych obrazach widzi ona siebie, jak w zwierciedle i poznaje całą swoją nagość i brzydotę, a że nie cierpi, by ją łowiono na gorącym uczynku, by przypominano czem jest ona w istocie, więc udaje świętoszka, oburza się i wyklina autorów.

Po tem, co się powiedziało uprzednio z racji naszych przesądów, odnoszących się do natury niewieściej, nie będziemy się teraz dziwili, że dzisiaj wielu z pomiędzy uczonych badaczy, wykształconych w szkole Schopenhauerów, gdy się zabierają do rozświetlenia istoty kobiety postępowej, kobiety, co pragnie zrzucić z siebie niegodne jej więzy, w które ją okuły wieki barbarzyństwa — mienić ją muszą produktem zwyrodnienia, noszącym na sobie znamię degeneracji (*stigma degenerationis)*, Cechą duchową tego stanu zwyrodnienia ma być, wedle słów autorów, nic więcej, jak chęć zrzucenia z siebie jarzma niewoli. Dla takich uczonych ideałem niewiasty jest ta forma inteligencji żeńskiej, »welche in ihrem Manne aufgeht, alles nur durch ihn und mit ihm, nichts ohne ihn sein will« [1]), czyli tłómacząc to powiedzenie na język polski będziemy mieli co następuje, że tylko takie kobiety uznać powinniśmy za normalne i dobre, które są gotowe utopić swą indywidualność w osobowości mężczyzny, które żyją i myślą przez niego i dla niego, które bez opieki męskiej egzystować nie chcą, bo nie umieją. Otóż uważać taką haremowość kobiety za przymiot pożądany może tylko uczony, który wzrósł i wychował się na łonie zasad Schopenhauerów i Hartmannów, a który w dalszym ciągu twierdzić może, że ideałem mężów stanu, na ukazanie się których ludzkość wieki czekać musiała, są nie inni, jak Bismarck i Wilhelm I. [2]), że następnie wzorem mężczyzny, który

---

[1]) »Die Frau, welche in ihrem Manne aufgeht, alles nur durch ihn und mit ihm, nichts ohne ihn sein will, ist diejenige, welche der Welt am meisten nützt. In anderen Fällen ist es anders. Die Frauen, sich sehr selbstständig fühlend, treten aus der Häuslichkeit heraus. Sie wollen der Welt sich zeigen, und sie wollem von der Welt gesehen und beachtet werden. Die elegante Weltdame führt ihre neuesten Kleider nach neuestem Schnitt einmal, zweimal am Tage spazieren, raucht, im Schaukelstuhl sich wiegend, ihre Zigaretten, trinkt mit den Herren um die Wette Champagner, so dass sie leicht auch einmal auf dem gebohnten Fussboden ausgleitet. Die ernstere, idealerfüllte Matrone nimmt in öffentlichen Versammlungen, politischen oder für ethische Kultur, den Präsidentenstuhl ein, besteigt die Rednerbühne und hält feurige Ansprachen von derselben an die grosse, aus Männern und Frauen bestehende Versammlung über die Vorgewaltigung der Frauen durch die Männer, über die Verkürzung der natürlichen Frauenrechte, über die Neuordnung der gesellschaftlichen Verhältnisse, über die Aufgabe der Frauen in denselben, oder aber sie wirkt als Schriftstellerin in derselben Richtung. Die bezüglichen Frauen erreichen, was sie wollen. Sie werden öffentlich bekannt, genannt, sie werden gefeiert, als Zierden ihres Geschlechtes, als Intelligenzen, die keinem Manne etwas nachgeben, wohl aber an Vorurteilslosigkeit die meisten übertreffen, gepriesen, und stürzen sie in Wirklichkeit die Pfeiler aller zeitigen Kultur und vernichten den Grund und Boden, auf dem sich dieselbe in Zukunft weiter entwickeln könnte..... Die Modedamen , die Weltdamen, und die der Halbwelt... die Sport-liebenden, die in Kunst und Wissenschaft aufgegangenen, in allerhand Vereinen, auf Wohlthätigkeitsvereinen wirkenden, kurz die aus ihren bisher für sie bestimmten Kreisen herausgetretenen, die ein männliches Streben, ein männliches Gebahren an den Tag legen, wie tüchtig und der Welt nützlich sie auch sonst sein mögen, sind Entartete. Entartungen ihres Geschlechtes. Was gemeinhin als Vorzüge an ihnen bewundert, als Tugenden an ihnen gepriesen wird, sind ihre stigmata degenerationis. (Dr. R. Arndt. Prof. an der Uniw. Greifswald. Biologische Studien II. Artung und Entartung 1895. p. 290—291). Autor rzeczony urobił sobie pojęcie o ideale kobiety według modły uczonych filozofów niemieckich, i wszystko, co do tego ideału nie przystaje, nazywa zwyrodnieniem; z tego też powodu jego kategorja zwyrodniałych mieści w sobie najrozmaitsze typy, nie mające nic więcej wspólnego, jak to, że nie należą do ideału przez niego wytworzonego.

[2]) »Von den unzähligen Keimen, welche die Natur aussäet, kommen immer nur wenige zur Entwickelung, und von diesen gelangen zu der, nach unserer Meinung höchsten Blüte und Reife in Jahrhunderten immer nur einzelne. Menschen wie Kaiser Wilhelm I., Bismarck, Helmholz, kommen alle Tausend Jahre nur ein Paar Mal vor.

ma stanowić o przyszłych losach ludzkości jest coś w rodzaju agrarjusza »junkra pruskiego« »nicht dumm, aber beschränkt« [3]), to jest mężczyzna nie głupi, ale ograniczony. Takie ideały człowieczeństwa wraz z hakatyzmem, szowinizmem pruskim [4]), wraz z pochopnością święcenia barbarzyńskich uroczystości, np. obchodu zwycięstwa pod Sedanem, tej niezmytej plamy przewrotności ludzkiej — będą w przyszłości służyły za wzory, odstraszające myśl człowieka od kierunku pragnień naszego wieku, wieku panowania siły, bezprawia i kłamstwa nad sprawiedliwością i prawdą. (C. d. n.).

Eine Menge von günstigen Verhältnissen müssen zusammenwirken um sie in ihrer Vollendung kommen zu lassen. (Dr. R. Arndt. l. c. p. 300).

[3]) »Es sind im Ganzen ruhige, doch keineswags sich durchaus gleichgültig verhaltende, apatische Menschen... Sie sind einfache Genussmenschen, zufrieden mit dem, was der Augenblick bietet... Es sind einfache in der Wirklichkeit, im Realen lebende, sogenannte sinnliche, nüchterne, aber darum auch praktische Menschen, ohne weitgehende Interessen... Sie sind nicht dumm, wie dieser oder jener von ihnen wohl meint, aber sie sind beschränkt. (Dr. R. Arndt. l p. 303).

[4]) Największymi szowinistami germańskimi są Prusacy, lecz kimże są ci Prusacy? Są to wynarodowieni północni Słowianie, którzy przyjęli obcą kulturę, obcy język i dzisiaj »hakatyzują« swych najbliższych powinowatych. Oto co o takich Słowianach wynarodowionych powiada Arndt. »In Griechenland sind sie G r i e c h e n geworden und galten deshalb bis zu Fallmereyer als die ächten Nachkommen der alten Hellenen. In Italien sind sie I t a l i e n e r, in Venedig z. B. ausgesprochene V e n e z i a n e r« (Np. Marko-Polo), »in Deutschland D e u t s c h e und zwar in Baiern B a i e r n, in Thüringen T h ü r i n g e r, in Sachsen S a c h s e n geworden. Im westlichen Hannover, in der Altmark Brandenburgs sind sie hier und da vielleicht noch dem schärferen und geübten Beobachter erkennbar; der unbefangene, naive indessen dürfte jeden auszulachen geneigt sein, der ihm zumutete, zu glauben, d a s s d i e s e u r- d e u t s c h e n L e u t e j e m a l s S l a v e n g e w e s e n s e i n k ö n n t e n. Ja, s i e s e l b s t g l a u b e n e s n i c h t e i n m a l u n d l e h n e n e s w i e e t w a s s i e B e m ä n g e l n d e s, B e m ä k e l n d e s — o d e r g a r S c h ä n d e n d e s a b, wird es ihnen gesagt. Und ganz ähnlich liegt es in der alten Priegnitz Brandenburgs, in Mecklenburg, in Pommern, obgleich hier, vornehmlich in der nördlichen Priegnitz, im südlichen Mecklenburg und nördlichen Pommern der slavische Typus im Ganzen noch recht leicht zu erkennen ist. Die Inseln Rügen, Usedom, Wollin liefern hauptsächlich dafür zahlreiche, ueberzeugende Beispiele« (Prof. R. Arndt l. c. p. 102). Wartość etyczna takiego szowinizmu leży jak na dłoni. Pod wpływem działania etyki tak zwanej państwowej, demoralizują się z gruntu społeczeństwa, rozluźniają się węzły miłości rodzinnej i plemiennej czyli główne źródła i podwaliny moralności. Dosyć jest dzisiaj wyuczyć się mówić gwarą obcą, ażeby czuć się w prawie stać okoniem wobec swoich najbliższych, a to najczęściej w celu dogodzenia egoistycznym popędom — ambicji, próżności, chciwości, które zwykle dobrze płatne są z góry, na zasadzie znanego hasła »*divide et impera*«. Brak miłości rodzinnej u ludzi prywatnych poczytuje się za wadę, świadczącą niekorzystnie o stopniu ich moralności, zaś w życiu politycznem — za cnotę. Dwoistość zasad etycznych, wprowadzona w stosunki ludzkie, gubi dzisiaj cywilizację, bo jak dwóch prawd być nie może, tak też nie mogą egzystować obok siebie dwa rodzaje praw etycznych. Przykłady nieposzanowania zasad sprawiedliwości u góry oddziaływają najniekorzystniej na moralność warstw niższych. Upijanie się czy szampanem, czy tylko »siwuchą« są jednakowo potępienia godne. Nieszlachetności czynu nie ochroni purpura, a fanfary płatnych pochlebców i służalców nie zagłuszą sumienia ludzkości myślącej, jak wille i pałace, ceną kłamstwa i blagi nabyte, nie skryją nikczemności.

Edgar Allan Poe.

(Dokończenie).

Poe miał prawdziwą pasję w matematycznem rozwiązywaniu trudności. Odgadnienie tajnika niezwyciężonej formułki szachowej, odcyfrowywanie wszystkich nadsyłanych mu do redakcji kryptogramów itp. stanowiły jego ulubione rozrywki.

W jednej zaś ze swych nowel »Morderstwo przy Rue Morgue« umyślnie spiętrzył trudności i zagadki, napozór nierozwiązalne, które najbystrzejszym policjantom nie pozwalają odkryć mordercy, aby potem kazać je z łatwością na podstawie matematycznego rozumowania rozstrzygnąć bohaterowi noweli, który mordercę znajduje w — małpie. W parę lat po napisaniu tej noweli pokazało się, że Poe takie trudności potrafi pokonać nietylko »apriori«, a sam je sobie sztucznie »eporst« nagromadziwszy na papierze. Oto bowiem w pobliżu Nowego Jorku zamordowano wśród tajemniczych okoliczności młodą dziewczynę. Policja czuła się zupełnie bezradną. Wtedy Poe, zgromadziwszy szczegóły, dotyczące morderstwa, napisał na ich tle nowelę („Sprawa Marji Roget), w której pozmieniawszy nazwiska rozwiązał na swój sposób tajemnicę. Dalsze zaś śledztwo co do joty potwierdziło jego przypuszczenia, a raczej obliczenia.

...Kreśląc z upodobaniem rzeczy, wychodzące poza obręb naszej umysłowej świadomości, Poe wybierał sobie najchętniej za przedmiot stany psychologiczne, znajdujące się, że tak powiem na granicy świadomości. A więc psychologja warjata, jak w »Czarnym kocie« lub w »Zdradzieckiem sercu« lub kwestja względności co jest właściwie obłędem jak w „*The system of doctor Yarr and professor Fether*, zagadnienie rozdwojenia osobowości w noweli *William Wilson*, jak telepatja, hypnotyzm, zwany wówczas jeszcze memoryzmem, wreszcie śmiertelna twoga w »Stu-

dni i wahadle«, to najczęstsze temata nowel Poego. Zapewne, w ten sposób utwory jego nabierają cechy chorobliwości, lecz wszakże niekoniecznie trzeba przyswajać sobie od pisarza to, co chorobliwe. Powtóre, posłuchajmy, co on sam w tej kwestji mówi:

»Ludzie głoszą, żem chory — powiada bohater w jego »Eleonorze« — ale to pytanie, czy choroba nie jest najwyższą inteligencją, czy nie wiele z tego, co promienne i nie wszystko, co głębokie, jest wynikiem chorobliwości myśli, chorobliwej formy bytu, posuwającej się do ostatecznych granic, kosztem ogólnego rozumu. Ludzie śniący na jawie poznają wiele rzeczy, uchodzących uwagi tych, co śnią tylko w nocy. Zamglonym swym wzrokiem chwytają odbłyski wieczności i drżą, gdy po obudzeniu się spostrzegą, że dotknęli wielkiej tajemnicy!«...

Jan Zgoda.

Ze śląskiej ziemi.

(Ciąg dalszy).

Słońce zniżało się ku zachodowi, gdyśmy pomyśleli o odwrocie.

Nagle, gdzieś bardzo daleko, na galicyjskiej stronie, wypadł z poza zielonej ściany pociąg i chwiejąc w powietrzu pióropuszem dymu, biegł spiesznie w kierunku Zwardonia.

Jak jednak wszystko zależy od punktu widzenia, z którego się patrzy na rzeczy. Ten pociąg, taki szumny, imponujący, gdy z rytmicznym łoskotem kół wtacza się na stację, sypiąc iskrami i ziejąc parą, — tu, na tle górskiego krajobrazu, robi wrażenie zabawki, ręką dziecka w ruch wprawionej. Zdaje się też chyłkiem uciekać przed olbrzymami i mknie cicho u ich stóp, jak cień, jak widmo.

Zstępowaliśmy z Ochodzitej w towarzystwie licznem, bo zwiększonem przybyszami z dwóch najbliższych, sąsiadujących ze sobą wiosek: śląskiego Koniokowa i galicyjskiej Kamesznicy. Do zadzierzgnięcia pierwszych z nimi węzłów znajomości, gdy, zwabieni widokiem turystów, pospieszyli na szczyt, dopomogły lornetki. Górale — pomimo sokolich oczu — lubią niezmiernie przyglądać się przez *wizy* niskim chatom i wyniosłym *czuplom*, blizkiej szachownicy własnych pól i dalekim, nikłym, błękitnym horyzontom. I teraz więc nie mogli dość się nacieszyć czarodziejsko przybliżającym szkiełkom. Śmieli się, patrząc na Koci zamek, pękatą górkę, siedzącą w Żywieckiem na przełęczy między dwoma smukłymi szczytami; poważnieli, zwracając wizę ku węgierskiej Oszczadnicy, na której konał przez trzy doby, powieszony za średnie żebro, Janosik i — jak gdyby nigdy nic — kurzył *fajfkę* w przedśmiertnych mękach; zaczęli głośno wołać, dostrzegłszy nurzającą się w owsie krówkę, która, nie słysząc, ma się rozumieć, upominających głosów, chrupała dalej z filozoficznym spokojem złotawe kistki.

Od wrażeń, bezpośrednio odbieranych w bieżącej chwili, rozmowa przeszła stopniowo do dalszych, bardziej zajmujących tematów, i oto nowi znajomi, radzi *ugwarzyć ze światem*, odprowadzają nas teraz *całom hurmo n* do gospody na legierach.

Gospoda na legierach to murowany, biały, szablonowy budynek o dwóch obszernych izbach. Ta wykwintna na prawo przeznaczona dla *panów*, skromniejsza na lewo dla — *ludzi*. Ponieważ nikt nie chce się wyrzec tytułu człowieka, więc wszyscy skręcamy na lewo. Tu całe towarzystwo rozpada się na dwie grupy. Galicjanie skupiają się koło jednego, Ślązacy koło drugiego stołu. Różni cokolwiek strojem, mową, rysami twarzy, nie okazują żadnej tendencji do złączenia się w jedno wielkie grono, do zawiązania wspólnej rozmowy. Kameszniczanie gwarzą między sobą półgłosem o własnych sprawach. Izdebnianie opowiadają nam o złotogłowcu, pysznym królu wężów, który teraz — po zgładzeniu ze świata zbójników — panuje niepodzielnie w ciemnych, tajemniczych lasach Baraniej. Potem przechodzą do króla polskiego, Jana Kazimierza, tłumacząc, że owe trzy dla nas zagadkowe krzyże, wyciągające ramiona nad granicą galicyjską, o kilkadziesiąt kroków dalej, przy bitym gościńcu, wzniesione zostały na »tem pamiątkem, że Jan Kazimir, jako przyszedł do polskiej ziemi, to padnął przed niom na twarz, jako przed ołtarem, całował jom a płakał«.

Ale sztuczne lody, powodujące rozłam towarzystwa, prysnęły wkrótce w ciepłej, serdecznej atmosferze. Znalazła się potęga, co zespoliła we wspólnem uczuciu rozdzielonych granicą braci. Tą potęgą była muzyka.

Gdzie lud polski, tam i śpiew. To też zaledwie pokrzepiliśmy się nieco skromną ucztą, której za podstawę służyły bryndza, *kiszka*, chleb, — góralka z Izdebnego, Sliwkula, zanuciła niezwykle cienkim głosem:

Hej, Boże, Boże, Boże mój!
Odeszeł mie miły mój!
Odeszeł mie bardzo preczka,
Wzion kluczicziki od serdeczka...

Za jej przykładem poszli wnet inni i z silnych, dźwięcznych piersi buchnęła jedna z tych pieśni gminnych, które dawały natchnienie największym genjuszom świata, jedna z pieśni, w których »lud chowa broń swego rycerza, swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty«.

Do śpiewu przyłączyła się wkrótce muzyka. Przybyły z nami *gajdosz* nie wziął wprawdzie ze sobą guśli ani gajd, ale dobry jeździec umie zażyć każdego rumaka, więc i on z każdym instrumentem potrafi *se poradzić.* I oto śpiewają już pod biegłą jego ręką znalezione w gospodzie *jarganki* [1]) I dźwięczą — jedna po drugiej — melodje, podobne do dzikich kwiatów górskiej flory o jaskrawych barwach i odurzającej woni. W tej szemrze boleść zawodzącej *galanki:*

Zabili, zabili, zabili go!
Pod buczkiem zelenym schowali go.
Pod buczkiem zelenym tam on leży,
Ta czerstwa wodziczka po nim bieży.

Tamta wybucha namiętnem wyznaniem:

Cobych cie sie bała,
Lebo sie stydziła?
Dyćby jo za tebom
Do wody skoczila!

Do wody, do wody,
Co sie kołem toczi,
Za tebom Jasinku,
Że masz czorni oczi!

Inna znowu raźnie przygrywa zbiegającemu z gór *jacholkowi:*

Chopa, ciupa do doliny!
Lepsze dziewczen, niż maliny.

Ale niepodobna wymieniać wszystkich. Zmężniałej na górskich wiatrach piersi śpiewaków nie prędko zabraknie tchu, a grajek nie wyczerpie chyba nigdy swego repertuaru. Jak starożytni brahmanowie zawartość Wed olbrzymich, tak on przechowuje w pamięci melodje i słowa dwóch tysięcy *bojtek,* wyśpiewywanych w tym górskim zakątku i teraz oto wydostaje dla nas ze swej skarbnicy szczere złoto ludowej muzyki i poezji. Ale i myśmy nie pozostały w długu. Po góralskich bojtkach wionęła wesoło mazowiecka piosenka, śpiewana przez dwa pyszne, udoskonalone sztuką głosy kobiece. Powodzenie śpiewaczek było niesłychane. Górale pogarnęli się ku nim nagle, jakby porwani jakąś *vis major,* aby nie stracić ani jednego słowa, ani jednego dźwięku, a błyszczące oczy, uśmiechnięte usta, zarumienione ich twarze mówiły, jak szczerej i doskonałej doznają w tej chwili przyjemności.

Dźwięki harmoniki towarzyszyły i teraz głosom ludzkim. Gajdosz dobierał w okamgnieniu akompaniament do słyszanych po raz pierwszy dziarskich krakowiaków, tęsknych dumek ukraińskich, wartkich kołomyjek, jak gdyby obeznany był z tą muzyką od wieków. Z jednego frazesu muzycznego odgadywał, przeczuwał, improwizował następny.

Ale cóż to? — śpiew ucichł. Harmonika rozsunęła wachlarze, westchnęła, jak człowiek, nabierający w pierś powietrza do jakiegoś ogromnego krzyku—i uderzyła nagle w bojowy, rycerski ton. — To muzyk śląski gra naszą marsyliankę: Jeszcze nie zginęła, a całe grono wtóruje mu potężnym chórem...

I płynie z szerokiej piersi ludu wspaniały hymn wiary, nadziei, tryumfu życia nad śmiercią — i gromkiem biegnie echem po cudnej ziemi śląskiej, „odrąbanej od macierzy, porzuconej na rubieży.“ — Nadzwyczajne, przejmujące dreszczem wrażenie! Nie każde nerwy potrafią je znieść spokojnie. Po licach srebrnowłosej matrony z Warszawy srebrne migają łzy, świeżo przybyła z »ziemi łez i niewoli« Litwinka kryje drgającą twarz w dłoniach...

Pieśń rozwiała się na wysokim tonie obietnicy: „Złączym się z narodem“. Pod bezpośredniem wrażeniem ktoś zabiera głos i opowiada jej historję: gdzie, kiedy, wśród jakich okoliczności zaśpiewano ją po raz pierwszy, potrąca o wypadki z 1794 r., z których się wysnuły legiony, wspomina o Racławicach, Bartoszu, Kościuszce... Słowa drogich wspomnień zespalają znowu obecnych ogniwem wspólnego nastroju i niema już odrębnych grup przy dwóch różnych stołach. Jest tylko ciasne koło ludzi, przejętych, zasłuchanych, przeniesionych na chwilę w mamiący świat górnych myśli, potężnych uczuć, bohaterskich czynów...

Tylko niepewne migotanie gwiazd, odcinających się ostro na ciemnym aksamicie nieba przyświecało nam w powrocie do domu. Milczeliśmy. Każdy czuł potrzebę skupienia się wejścia w siebie, uporządkowania całodziennych wrażeń. Wtem cichy, stłumiony głos rzucił mrokom nocy:

...I do wieśniaczych zstąpisz chat
Budzić uczucia nieznane,
Więc nie opłakuj swoich strat,
Pociesz się, serce stroskane!

Co znaczyła ta deklamacja? — Czy myśl deklamującej, rozkołysana rytmem muzyki i poezji, biegła dalej w tym samym kierunku i zatrzymała się przypadkowo na melodyjnym wierszu, — czy też może jej serce, nie »stroskane« wprawdzie, ale do najgłębszej głębi wzruszone, szukało w słowach wielkiego poety wyrazu dla własnych pragnień, dążeń, marzeń?...

M. Wysłouchowa.

---

[1]) Harmonika.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie